

Patricia Friedrich (red.), *English for Diplomatic Purposes*. Multilingual Matters, 2016, 204 s.

### Ryszard Stemplowski

Patricia Friedrich (*associate professor* retoryki, kompozycji literackiej i lingwistyki na Uniwersytecie Stanowym Arizony) zebrała zespół specjalistów z kilku krajów, żeby odpowiedzieć na pytanie o funkcjonowanie języka angielskiego jako *lingua franca* dyplomacji w zróżnicowanym kulturowo środowisku międzynarodowym dyplomacji światowej (*global*).

Po wstępie zbiór artykułów otwiera tekst redaktorki tomu oraz poety i lingwisty, emerytowanego wykładowcy Uniwersytetu w Pernambuco (Francisco Gomes de Matos) pt. *Toward a Nonkilling Linguistics*. Autorzy stosują termin *nonkilling*, powołując się na Paige'a, który pytał, czy możliwe jest *nonkilling*

*society*<sup>14</sup>. Friedrich i Gomes twierdzą, że tworzenie takiego społeczeństwa wymaga „odpowiedzialnego używania języka i władzy społecznej wynikającej z jego stosowania” (s. 1). Przypominają *nonviolence* Ghandiego (oraz 25 podobnych terminów z przedrostkiem *non*). Piszą, że w ich *nonkilling linguistics* wypracowany został język z potencjałem twórczym w dziedzinie pokoju. Formułują także dwie zasady podstawowe i dwa apele. Pierwsza podstawowa zasada głosi, że język jest systemem komunikowania się w sposób wykluczający zabijanie. Druga, że dla dobra rodzaju ludzkiego posługujący się językiem mają prawo do nauki porozumiewania się w taki właśnie sposób. Pierwszy apel wzy-

<sup>14</sup> G.D. Paige, *Nonkilling Global Political Science*, Center for Global Nonkilling, 2009, s. 21.

wa nas: „Bądźmy komunikatywnymi humanizatorami, traktując wszystkich posługujących się językiem ze współczuciem i godnością”. Drugi apel brzmi: „wybierzmy do komunikowania się takie stosowanie języka, które wyklucza zabijanie” (s. 4). I dalej w tym stylu. Kiedy już czytelnik zaczyna się niecierpliwić, napotyka podrozdział *Focus on Diplomacy: Negative Peace*. Autorzy nawiązują do Galtunga, według którego pokój to brak wojny (stąd *negative*)<sup>15</sup>. Gomes stworzył w związku z tym pięć zaleceń pod adresem dyplomatów: unikanie języka dehumanizującego, podchodzenie do różnic w konstruktywny sposób, kładzenie nacisku na język o potencjale pokojowym, a nie obliczonym na dążenia strategiczne, skupienie się na porozumieniu, a nie na polemice, unikanie języka pompatycznego, dzielącego ludzi i ukrywającego prawdziwe cele. Autorzy proponują następnie serię ćwiczeń obliczonych na nauczenie dyplomatów stosowania tych zasad, apeli i zaleceń. Ćwiczenie piąte wymaga napisania poematu wychwalającego potęgę komunikowania się wykluczającego zabijanie albo propagującego wizję „patrioty planetarnego” (np. Ghandi, Galtung). Może coś jest w tym, żeby nakłonić do takiej pracy ministrów spraw zagranicznych, nie tylko Korei Północnej, ale i państwa

celebrującego pokój głośnymi wybuchami na obcym, ukraińskim terytorium? Innym też takie ćwiczenie mogłoby pomóc, ale żadnego nazwiska nie wymienię, żeby nie narazić Redakcji na pochwałę.

Kolejna autorka, Noriko Ishihara (wykłada na japońskim Uniwersytecie Hosei), pisze o tym, że język można uczynić twardym albo łagodnym w rozmowie między przeciwnymi stronami, że można się nie zgadzać w sposób zgodny albo wyzywający.

Josette LeBlanc (wykładająca na anglistyce Uniwersytetu Keimyung w Daegu, Republika Korei) rozważa znaczenie dla celów dyplomacji angielskiego języka wyrażającego współczucie. Wiele uwagi poświęca empatii (która nie jest synonimem współczucia). Podaje dużo przykładów stosowania słów oraz ich konotacji. Zaleca opisywanie zamiast oceniania, stosowanie empatii zarówno w stosunku do siebie samego (?), jak i do innych, występowanie z inteligentnie sformułowanymi oczekiwaniami, a nie żądaniem.

Andy Kirkpatrick (profesor w Griffith University w Brisbane) oraz Sophiaan Subhan i Ian Walkinshaw (wykładowcy tamże) podnoszą problem języka angielskiego jako *lingua franca* w Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, pytając o implikacje tego zjawiska dla komunikacji dyplomatycznej i międzykulturowej. Jest to problematyka zasadniczo inna od poruszanej w pozostałych artykułach,

<sup>15</sup> J. Galtung, *A Structural Theory of Aggression*, „Journal of Peace Research” 1964, t. 1, nr 2, s. 95–119.

gdyż język angielski jest na omawianym obszarze stosowany powszechnie, nie funkcjonuje jednak jako pierwszy dla większości obywateli, urzędowy lub (mało precyzyjnie) ojczysty czy macierzysty (jak np. angielski w Szkocji). Czytelnikowi trudno jednak ustalić, jakie to zdaniem autorów ma znaczenie dla języka dyplomacji – poza tym, co oczywiste, że zróżnicowanie kulturowe i konieczność kompleksowego traktowania szkolnictwa mają w krajach ASEAN-u większe znaczenie niż w innych (pomijając kraje języka angielskiego jako pierwszego – np. USA).

W kolejnym tekście autorstwa redaktorki tomu czytamy o związku między odmianami języka angielskiego w świecie i lingwistyką pokoju (*peace linguistics*) a ich znaczeniem dla angielskiego języka dla dyplomatów. Tekst ten może być przydatny do propedeutyki studiów kulturoznawczych z odesłaniem do czasopisma „World Englishes”.

Danton Ford (wykładowca w Akademii Dyplomatycznej Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Korei) i Paul Kim Luksetich (nauczyciel języka specjalistycznego w tej samej Akademii) piszą o prowadzeniu negocjacji w języku angielskim. Podają dużo przykładów użycia języka, dobrze dobranych, lecz na elementarnym poziomie.

Biljana Scott (starsza wykładowczyni języka i dyplomacji publicznej w DiploFoundation w Genewie i na

Malcie) publikuje esej pt. *Force and Grace*, w którym dowodzi, że wyrażenie *a fist of iron in a velvet glove* trafnie ujmuje połączenie siły i wdzięku, posługiwanie się żelazną pięścią w aksamitnej rękawiczce, jako jedną z istotnych kompetencji, jakie dyplomata winien posiadać. Autorka podaje mnóstwo lingwistycznych ilustracji swej tezy i argumentuje, że można połączyć siłę z wdziękiem i wyrazić niezgodę bez okazywania zasadniczej nieustępliwości.

Francisco Gomes de Matos raz jeszcze pojawia się w tym zbiorze, pisząc o koncepcji pedagogiki formującej pozytywne nastawienie w odniesieniu do języka angielskiego dla dyplomatów. Powołuje się na swą książkę i przedstawia 18 rodzajów działalności oraz ich określenia w języku angielskim.

W podsumowaniu redaktorka podkreśla znaczenie pomieszczonych tekstów dla praktyki pedagogicznej w zakresie języka angielskiego dla dyplomatów.

Książka jest pionierska i wielce pożyteczna, ale dla kogo jest przeznaczona?

Powie ktoś, że szlachetne to zamysły, ale naiwne zasady i wezwania, banalne treści. Odpowiem polemicznie, że język oddaje struktury myślenia, ale też na myślenie oddziałuje, zatem współkształtuje działalność człowieka. Przestaliśmy być ludożercami, potem odrzuciliśmy torturowanie, ograniczamy stosowanie kary

śmierci, przyjmujemy zasady prawa eliminujące agresję państwa przeciw państwu. Autorzy recenzowanej książki podążają tym szlakiem. Jest on funkcją warunków ogólniejszych, w tym i oświaty. Książkę tę zalecam więc nauczycielom angielskiego i studentom prawa i historii, doktorantom politologii, studentom pierwszego roku szkoły dyplomatycznej czy początkującym analitykom polityki zagranicznej, którzy znają angielski jako obcy język, trzeci albo dalszy.

Problematyka ta jednak zasługuje na głębsze studia. Wymienię jeden powód, moim zdaniem bardzo pilny: amerykańszczenie języka angielskiego w stosunkach dyplomatycznych. Nie bez powodu już Churchill mówił o „dwóch krajach podzielonych przez wspólny język”. A przecież mamy jeszcze kilkaset innych państw i organizacji międzyrządowych, setki korporacji ponadnarodowych. Język angielski jest już językiem światowym, w dyplomacji – na pewno, jak wcześniej język francuski.

Brytyjczycy mają problem specjalny, ponieważ brexit, jeżeli do tego dojdzie, uczyni kiedyś z Anglii (sic) kolejny stan USA i sprawa trochę się uprości. Natomiast w UE akceptacja języka angielskiego po brexicie wzrośnie, gdyż angielski nie będzie się tak wyraźnie wiązał z interesami wielkiego państwa członkowskiego, nie będzie tak irytował Francuzów i innych. Szkocja, Walia, Irlandia – to

jednak inna waga, a taka *lingua franca*, nowa łacina, jest nam potrzebna.

Kiedy brytyjskie oddziały uczestniczące w ONZ-owskich operacjach na Półwyspie Koreańskim znalazły się pod ciężkim bombardowaniem (1951 r.), operator brytyjski alarmował pobliską bazę wojskową USA: „nasze pozycje znalazły się w kłopotliwym położeniu” (*a spot of trouble*). Amerykanie pojęli to dosłownie, Brytyjczycy zostali rozgromieni<sup>16</sup>. Częste stosowanie niedopowiedzenia (*understatement*) jest cechą języka angielskiego, nie amerykańskiego. Może dyplomata USA rozumie dyplomację brytyjską lepiej, choć przekonałem się już, że nie zawsze. Ale co z pozostałymi? Nawet w krajach powszechnego stosowania języka angielskiego (ASEAN, państwa, o których piszą Kirkpatrick i inni) „wiele napisów jakoby po angielsku jest dla *native speakers* często niezrozumiałych. To samo stwierdzono w Polsce, na Węgrzech, w Czechach oraz innych krajach dawnego bloku wschodniego”<sup>17</sup>. Chodzi więc o poziom podstawowy. Jednak nawet w tych krajach, kiedy mowa o dyplomacji, chodzi też o różnice między angielskim i amerykańskim. Czy któraś z nich nie sprawi kiedyś w trakcie negocjacji, że *grace* zadziała jak *force*?

<sup>16</sup> T. Fletcher, *The Naked Diplomacy*, William Collins, 2016, s. 154–155.

<sup>17</sup> S. Wright, *Language Policy and Language Planning. From Nationalism to Globalisation*, Palgrave Macmillan, 2016, s. 168.